№ 19. Warszawa, dnia 27 Kwietnia (9 Maja) 1895 r. Rok XXXI.

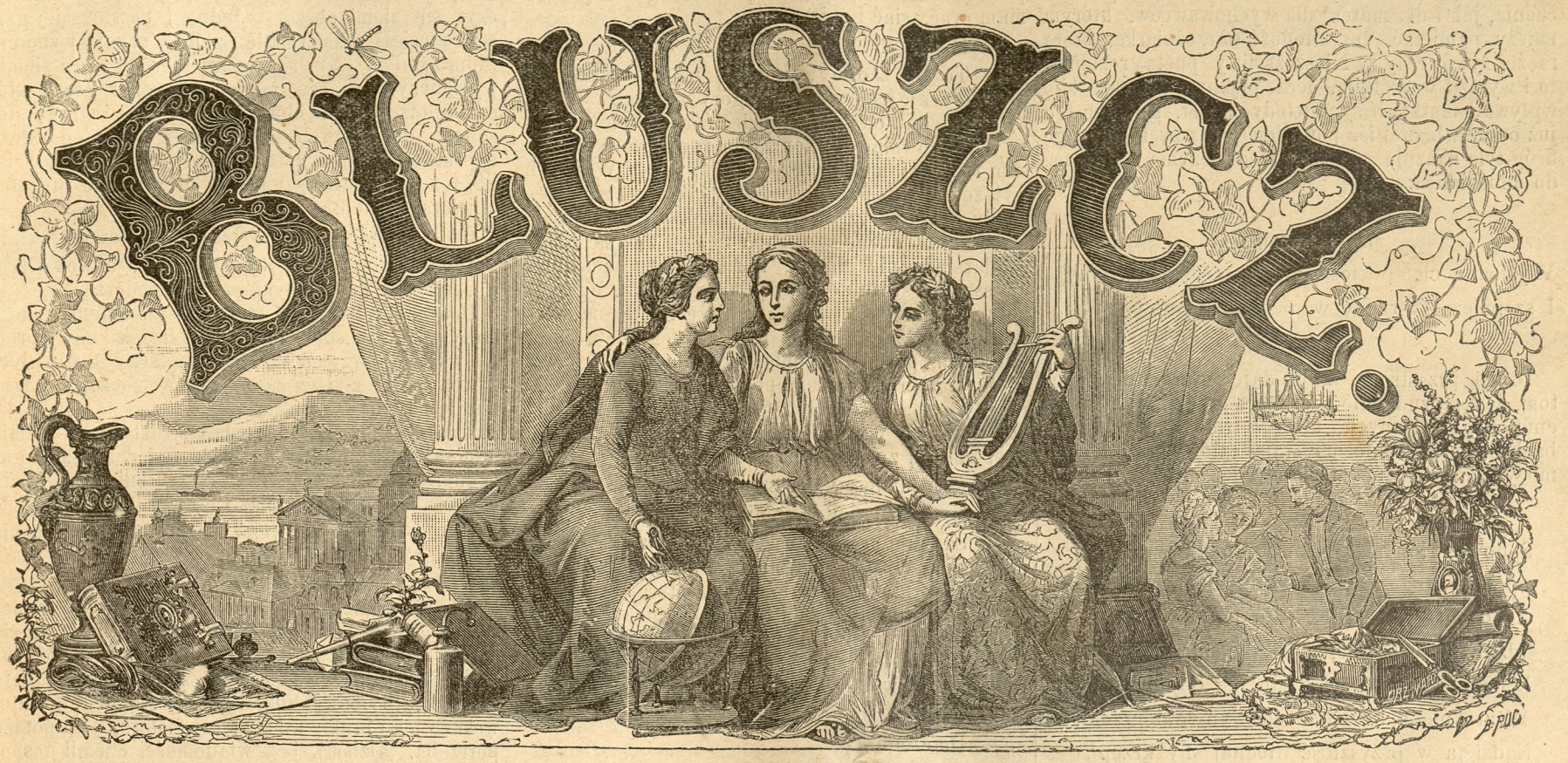

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

MIRON.

Znany pod pseudonimem Mirona poeta, Aleksander Michaux, zmarł po 54 latach życia, które nie było szczęśliwem. Urodzony w Warszawie w 1839 r., tu również brał wykształcenie szkolne w gimnazyum realnem a ojciec jego, zamożny restaurator, pragnął, aby syn jego był ziemianinem i dawał mu odpowiednie do tego wykształcenie. Po ukończonej nauce szkolnej oddany został do instytutu agronomicznego w Marymoncie, który ukończył w 1861 r., ale nie czując powołania do życia na wsi, został urzędnikiem, co przecież nie zapełniało mu całości życia, nie stało się przeszkodą w twórczości literackiej, a poezye te młodości jego, pełne zapału, trafiały do serca ludzi i zjednały mu uznanie, bo odpowiadały nastrojom uczuć szlachetnych. Nie wzniósłszy się na wyżyny takich genialnych wieszczów jak Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, umiał jednak trafić do serc ludzkich, a w zbiorze jego poezyi mieści się niejedna rzecz wyższej piękności, zdolna podnosić ducha i uszlachetniać poglądy nasze na życie i jego przeznaczenie, jak też woła za Mussetem do młodego poety:

Śpiewaj ciągle poeto, boć z tłuszczą
Bogowie nie odeszli z tego świata jeszcze,
Muzy jaśnieją czarem słonecznej piękności.
Wierzaj! obok dusz ślepych, żyją duchy wieszcze,
Co wołają wciąż światła dla ciemnej ludzkości...

Poezye jego oryginalne były poniekąd improwizacyami, tworzył bowiem tylko w chwilach, gdy jakieś wruszenie, jakieś gorętsze uderzenie serca rozbudzało w nim zapał twórczy a nie łatwo mu było przystosować się do ludzi, inaczej jak on czujących i patrzących na świat i jego sprawy, jak wyznaje to sam, wołając w wierszu „Ecce Dolor," z dewizą: „Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno żyć na tej ziemi..."

Z wiarą i zapałem
W te puszczę prozy pochmurną i nudną
Wszedłem i próżno dokoła szukałem
Anioła, choćby z jednem skrzydłem białem.
I żyć nie mogłem w zgodzie z światem całem,
Bom ani podłym był, ani idyotą,
A jeślim szydził nad upadłym bratem,
To z bólu serca, że zapadł on w błoto,
Choć miał przed sobą celem gwiazdę złotą.
Pieśni zaś moje to byli rycerze,
Nie w stal okuci, lecz z piersią otwartą,
Bom ich wysyłał by nieśli w ofierze
Wszystkim wieść taką, z krwią serca wydartą,
Że je też kochać trochę było warto...

W roku 1867, żonaty już, nabył na współwłasność z Wacławem Szymanowskim „Kuryer Warszawski," w którym pisywał drobne poezye, rozbiory literackie, artystyczne, teatralne, zawsze chętnie przez ogół czytywane, lecz ci, którzy go znali bliżej, którzy mu byli życzliwi, upominali się u niego o prace poważniejsze, o poezye, przecież stało się to już dlań rzeczą trudną, zwłaszcza, że i zdrowie zaczęło go odstępować, a przeczucie blizkiego zgonu dawało poezyom jego nastrój smętny; może z myślą na samego siebie zwróconą przełożył wiersz amerykańskiego poety, Pauldinga, w którym woła on, aby mu podano czarę wina, bo czuje, że już kres jego życia jest blizki, i żegna też po kolei wszystko, co mu było najdroższem na ziemi: ojca, matkę, która słała za nim do Boga „pacierz w łzy zaklęty," i pierwszą, czystą kochankę swoją. Przecież toast ten trzeba mu było spełnić strugą łez a czytający poezye jego czuje, że nie jest to bynajmniej frazes poetyczny, że człowiek ten smutny, który rozrzutnie gospodarował życiem swojem i obdarowaniem, jakie otrzymał od Boga, cierpi teraz, pokutuje boleśnie i wśród wyrzutów, czynionych sobie, zwraca się z miłością i uwielbieniem do utraconego dobra: poezyi, do której woła:

Kochanko Cherubów, w koronie twej złotej
I z dzwięczną swą harfą tak lśniącą słonecznie,
Kto ciebie ukocha, twym będzie już wiecznie
I w duszy swej z żarem namiętnej tęsknoty,
Do pieśni gdy skrzydło rozwijasz łabędzie
Choć z objęć jedynej rwać w górę się będzie...
Kto ciebie ukocha, ty wieków nadziejo,
Ten piersi nie skala, nie zniży ten czoła,
Lecz z siłą Tytana a z sercem anioła
Za tobą iść będzie czy gromy szaleją,
Czy cisza drzy błoga... o! wszędzie i wiecznie,
Kto ciebie ukocha, tak lśniącę słonecznie...

Smutna to, ciężko smutna rzecz, że człowiek tak myślący i czujący nie zdołał skupić się w sobie o tyle, aby siła jego woli oparła się wpływom zewnętrznym, choć wołał na siebie: „Nie upadaj! wzrok sokoli w niebo i wpierś ludzką wbij..." To też życie tego zwichniętego poety jest nietylko przestrogą wielką dla tych, którzy nie umieją stawiać

oporu lichym oddziaływaniom, źle dobranego otoczenia, jak i dla matek, dla wychowawców, którym należy pamiętać, że „młodość to rzeźbiarka, która rzeźbi żywot cały.“ Nieszczęśliwy poeta rozumiał to i wyraził w krótkim, lecz pięknym wierszu siłę wpływów matki na syna wtedy nawet, gdy syn ten już o sile własnej iść powinien przez życie, którego dróg tyle ukazuje mu się przed oczyma i woła też do młodzieńca:

Matka ta twoja
Wysłucha cię, pocieszy, bo zna świat okrutny
I szepnie:—Patrz się w niebo dziecino ty moja...

Drugą przestrogą, którą daje on artystom, poetom, jest zrozumienie znaczenia pracy i tych trzech cnót ewangelicznych, które w trudnych życia próbach i zapasach z losem stają człowiekowi do pomocy i łącząc to razem nakaz daje:

Synowie słońca! niebios kochankowie
Społem do pracy, jak rzymskie legiony...
Z odwagą w sercu a rozumem w głowie
Idźmy przez życie; a każdy zhańbiony
Będzie, gdy czynem hasłu nie odpowie ..
Wiara niech będzie duchowym puklerzem,
Nadzieja w przyszłość niechaj siły krzepi,
A na tym świecie musi raz być lepiej,
Bo my w królestwo ciemności nie wierzem...

Ta silna wiara w postęp, która jest szlachetną wiarą w doskonalenie się istoty ludzkiej sprawiła, że poeta nie zatruł sobie życia cierpką tą goryczą, którą napawają się serca ludzi już wierzyć nie zdolnych. W wierszu, który jak tytuł objaśnia jest fragmentem jego testamentu, żąda, aby go złożono pod drzewo smutne już, bo stare, „gdzie będzie leżał, spokojnie i cicho,“ dodając tylko, aby za trumną jego szli ci, co „w śmiesznych pieśniach jego łzy widzieli i łzy mu dawali jak żebrakowi.“

M. I.

POGAWĘDKA.

Zmieniły się czasy, och — zmieniły się!

Coby to powiedział przed laty mniej więcej, ot— trzydziestu pan Michał albo pan Wojciech naprzykład, który, od dnia szczęśliwych urodzin swoich, jeżeli się wychylał za kopce graniczne swej ojcowizny, to albo po to, by w prowincyonalnem miasteczku gospodarskie załatwić sprawy, lub na dorocznym jarmarku czwórkę koni dobrać a oporządziwszy uczciwie i siebie i zaprzęg, odwiedzić jednego z sąsiadów, uśmiechnąć się do panny Weroniki i podkręcając sumiastego wąsa, szepnąć zawstydzonej dziewczynie na uszko o skłonnościach swojego serca, boć on żony, a dom gospodyni potrzebuje; coby to ów pan Michał albo Wojciech powiedział, gdyby nagle panna Weronika, zamiast sznurować usteczka, jak to młodej niewieście przystało, zagabnęła nagle młodzieńca coś z chemii gospodarczej, o rozmaitych potażach i fosforach, nawozach i kompostach i starała się go przekonać, że on, Michał, z dziadów pradziadów syn gospodarski gospodarować nie umie. Uderzenie, tuż przed nosem samym siarczystego piorunu, mniej ogłuszającem by było.

— Ja—gospodarować nie umiem?!

— Tak—tak, mości dobrodzieju, nie umiesz!

— I to aśćka dobrodzika, mająca takie oczy błękitne, usta malinowe, ząbki perłowe a rączęta, pożal się Boże, wielkości włoskiego orzecha—i to waćpanna ma mnie, syna gospodarskiego uczyć, jak mam orać, siać i zbierać?...

— Niestety!...

— To nie żadne „niestety“ mościa panno, ale przewrócenie się świata do góry nogami. Ja przy ojcu Macieju od samego dzieciństwa byłem, przyzwyczaiłem się do konia, do rannego wstawania, sam rozstawiam siewaczy, na świętego Wojciecha wyjeżdżam w pole i patrzę, jak run zielenieje, a gdy nadejdą czasy żniw i wozowicy, nie spuszczam się na ekonoma, choć to i on zna się na gospodarstwie nie gorzej, niż ksiądz na pacierzach, ale sam od świtu do nocy pilnuję żeńców, odtykam kopy, towarzyszę wozom i liczę snopy na sterty rzucane. Czoło mam spalone na węgiel, włos pełen kurzu, piersią, jak miech kowalski dyszę, a własnym potem tę ziemię podlewam, którą znam lepiej, niż panna fałdy w spódnicy własnej. I to ja—ten biały murzyn, mam się usunąć w kąt przed gospodarczą znajomością waćpanny?

— Porozumiejmy się, szanowny panie.

— Nie zrozumiemy się nigdy.

— Szanuję pracę pańską i cenię trud jego, o którym mi mówi to czoło spalone i usiane perłami potu; dziś jednak warunki gospodarstwa nie tylko na tem zależą, by niejednej nie dospać nocy, samemu być wszędzie i wszystkiego własnem okiem dopatrzeć. Pracujesz pan ciężko; lecz powiedz szczerze, czy zadawalniają ciebie rezultaty tej pracy?

— No—nie zupełnie!

— Dlaczego?

— Za ś. p. ojca Macieja lepiej bywało.

— Co pan nazywasz tem-lepiej?

— Pamiętam, dzieckiem jeszcze, kiedy patrzałem na pola kopami usiane, to zdawało mi się, że prędzej gwiazdy na niebie policzę, niż kopy one; a miło było wziąć kłos do ręki—pełny, ciężki, jakby kto ołowiu do środka nalał. Dziś coś przerzedziło na tej samej przestrzeni pól, kłosy o połowę się zmniejszyły, nie doliczyć się dawnej ziarn liczby, a ołów ktoś wyciągnął. Trudzę się i pocę jak poprzednicy moi, lecz na nic wszystko; a przecie gospodaruję tak samo, jak ojcowie gospodarowali, na wszystkie świętości przysięgam.

— Ależ bez przysięgi wierzę, bo w tej *tożsamości* spoczywa wada gospodarstwa pańskiego.

— Zabijasz mnie panno klin w głowę.

— Powiem więc panu, jak zło naprawić potrzeba.

— O Jezu! ona mnie gospodarstwa uczyć będzie!

— Zatem rozpoczynam wykład...

— O nie, nie—dziękuję... Pannie się w głowie pomięszało! Kłaniam uniżenie—mamy dobrodziejki rączki proszę ucałować—Adieux, adieux, adieux!...

— No—już milczę, milczę!... Nie odjeżdżaj pan tylko tak prędko.

— Nie mam czasu, mościa dobrodziejko...

— Pan zdaje mi się—miałeś mi coś powiedzieć?

— No—tak — tak—nic... Czy zacząłem mówić o czemś?

— Coś o sercu, coś—zdaje się—o małżeństwie.

— A, tak! Ale to mój przyjaciel ma zamiar o tem pomyśleć, ja—nie!...

Nie inaczejby przed laty trzydziestu pan Michał czy pan Wojciech powiedział. Słowa panny Weroniki, krytykujące uświęcony wiekami sposób gospodarowania, byłyby wprost nieprzyzwoitością i nie na żarty by myślano, że się świat do góry nogami wywraca, że domowe cnoty upadają, że jaja stają się od kur mędrsze.

Ale zmieniły się czasy, okrutnie się zmieniły.

Osóbka młoda i powabna, bez ujmy najmniejszej dla niewieściego wdzięku, głosem pewnym, z doskonałą znajomością przedmiotu wygłosiła prelekcyą „O potrzebie chemii dla rolników“. Dawniej, przy ogromnym obszarze ziem a znacznie mniejszej ludności, pewna część roli podlegała uprawie, która się ograniczała na oraniu, siejbie i zbiorze. Zbierano złote plony, zużytkowywano coraz nowe obszary, dawniejsze odpoczywały, pokrywały się zielenią traw, które znów przeorane tworzyły naturalny nawóz i zasilały glebę. Ale się ludność powiększyła, stosunkowo zaś do jednostki zmniejszył się ziemi obszar. Jedna i ta sama jej garstka musiała wciąż rodzić i zadość czynić wymaganiom rolnika. Nie rozumiano jednak, że i ziemia wycieńczyć się może, jak każde bydlę robocze, któremu potrzeba dać chwilę wypoczynku i strawę stosowną, by nowych sił nabrało. Gospodarstwo, w przekonaniu dawnem, nie było wielką mądrością, ani też wymagało gruntownych studyów i trudów uniwersyteckich.

Co za związek uniwersytetu z gospodarstwem?...

Doktor niech się uczy medycyny, adwokat prawa, inżynier matematyki—ale gospodarz?...

Doświadczeni ludzie powiedzą młodzieniaszkowi, który upodobał sobie życie na roli, jak i kiedy orać. Na wsi są dobrzy siewacze i układacze stert, młocarnia wybije z ziarn snopy, gotowe zboże kupi Jankiel lub Lejba—ot, i mądrość cała.

Tym czasem po macoszemu traktowana ziemia odmówiła posłuszeństwa najdoświadczeńszym gospodarzom. Nie rozumieli jej wołania: „Chcecie bym wam dawała, dajcież i mnie“!

Ano — dawali jej wciąż ziarno, nie wiedząc nic o tem, że ziarno to powinno być zasilone tem właśnie, czego już ziemi zabrakło.

Nic nie pomogło *doświadczenie*, okazała się potrzeba *nauki*, nauki, którąby powiedziała jak się rośliny rozmnażają, żywią i oddychają czego potrzebuje ziemia, by, nie liche ziarna, lecz bogate w mączkę wydała; naukowy rozbiór danego gruntu, wskaże jego braki; tam więcej fosforu, tam potażu potrzeba. Dzisiaj, bez wiadomości chemii gospodarować można, lecz ta bezprodukcyjność gospodarstwa zraża ludzi do roli, zamiast ich zachęcić do rozświetlenia umysłu swego pożyteczną, w dzisiejszych zaś warunkach, konieczną wiedzą. Gospodarujących jest dużo, lecz gospodarzy w całem znaczeniu tego słowa, nie wiele się u nas znajdzie.

Tę prawdę wypowiedziano z katedry w seryi odczytów, urządzanych przez komitet dam na rzecz Towarzystwa opieki nad zwierzętami. Panna Zofia Jotejko, mówiła bardzo dobrze i bardzo przekonywająco, ale cóż, gdy wśród grona nie wielu słuchaczów, ani jednego rolnika nie było. Nie padły więc tam strzały, dokąd były skierowane, a radzibyśmy wiedzieć, coby to dzisiaj na to powiedział pan Wojciech czy pan Michał, czy jeszcze by sądzili, że świat się do góry nogami wywraca?

Ha! wywracają się przekonania, pojęcia—to trudno! Ale bądź co bądź, stosunki się u nas poprawiają i coraz więcej mamy gospodarzy uczonych, a jakkolwiek jest więcej trzymających się utartych prawideł tradycyi, to temu dziwić się nie można, znając warunki i okoliczności im towarzyszące.

Ostatnie dwa tygodnie zaznaczyły się zgonami, bądź co bądź, wybitnych osobistości. Umarł Aleksander Michaux, znany przed laty poeta, podpisującą się pseudonimem „Miron“—w ślad za nim podążył Bogumił Foland, długoletni wice-prezes teatrów warszawskich, jednocześnie prawie zeszedł ze świata Ludwik hr. Krasiński, magnat i przemysłowiec, a przed kilku dniami doniosły nam telegramy o śmierci Lucyana Rydla, zwyczajnego profesora okulistyki na uniwersytecie krakowskim.

Nader bolesnym dla mnie był zgon Mirona, z pogrzebów — najsmutniejszy jego pogrzeb. Każdy z tych ludzi, za wyjątkiem smutnego pieśniarza, umiał żyć, użył życia i dał coś życiu — on jeden tylko złamał się w połowie drogi i zapomniany a często nieznany przechodził obok ludzi. Smutnemu pochodowi do grobu Folanda i Krasińskiego towarzyszyły tłumy, wozy żałobne przepełnione były wieńcami; za trumną poety szedł szczupły orszak, składający się z rodziny zmarłego i braci jego po piórze. Wieńców parę spoczęło tylko na smutnym pomniku: „od żony i dzieci“ i „od braci po lutni“.

Każda jednak z tych śmierci zawiera pewną myśl w sobie. Śmierć Mirona nas uczy, że nie wolno jest wątpić i upadać; śmierć Folanda powinna być przykładem dla następców jego, czem się zaskarbia szacunek i pamięć ludzi; śmierć Krasińskiego mówi, jak magnat... nie powinien umierać.

Wszystkie pisma podniosły zasługi ś. p. hrabiego Ludwika na polu przemysłu krajowego, zasługi, których nikt mu nie odbiera; ale zważając, że to

zajęcie się przemysłem z miljona dało nieboszczykowi pięćdziesiąt miljonów, że w tej pracy nie małą jeżeli nie przeważną grał rolę interes osobisty: wieniec zasług nieco się zmniejsza, tembardziej, że nic krajowi nie dostało się z tej olbrzymiej fortuny.

Od pogrzebów przejdźmy do weselszego tematu.

Wiosna!

Ach! na samo już jej wspomnienie pierś pełniej oddycha, a cóż gdy ona sama, królowa słońca, błękitów i róż w postaci swej stanie i wprost do nas wdziękami swojemi przemówi.

Mamy ją—mamy—mamy, piękną i uroczą, pogodną i ciepłą; patrzeć tylko jak bzy zakwitną, róże zapachną, bo że słowik gdzieś już śpiewa, to konia z rzędem stawiłbym, tylko że tych pieśni słowiczych szukać gdzieś potrzeba daleko, daleko za grodem syrenim.

To też wkrótce zaroją się spacerowiczami zamiejskie ogródki; gościnny Willanów już bramy swoje otworzył, a i do Jeziorny, niejeden podąży, byle dalej od ruchu i gwaru miejskiego.

Byle dalej!

Ba! cóż z tego, gdy wszystkie piękne zacisza zapełnią się spragnionymi powietrza i spoczynku. Miasto całe przeniesie się za miasto, nie będzie tylko czteropiętrowych kamienic, kół turkotu, niespodzianego prysznica—lecz ciżba ta sama, ten sam gwar i hałas głosów ludzkich, niezbraknie nawet przekupniów, piwa i świeżych kiełbasek. Gwarniej nawet i ruchliwiej będzie teraz, niż dotąd bywało, bo ulepszone zostały środki komunikacyi i zamiast tramwajów konnych, w ruch już puszczono niewielkich wymiarów lokomotywy o sile 20 koni, ciągnące za sobą od trzech do pięciu wagonów, które w odstępach minut dwudziestu wyruszać będą do Jeziorny i do Janowej niegdyś siedziby. Przestrzeń dzielącą Warszawę od Willanowa będziemy więc przebywali w niespełna minut czterdzieści, nie zobaczę się tam jednak z wami podczas dni świątecznych, bo lubię się nasycać pięknościami natury nie w tłumie, nie w gwarze, lecz w samotności i wśród ciszy, podczas której niespłoszony ptak usiądzie na gałązce drzewa i piosnkę zanuci i dosłyszysz szmer rozmawiających z sobą listków i w powietrzu rój brzęknie owadów i na skrzydłach cichych wiatrów niesione różnobarwne motyle pogonią.

Podczas jednej z niedawnych wycieczek swoich za miasto, zobaczyłem obóz cygański rozłożony na łące zielonej. Koczowniczy lud ten dużym taborem stanął a przybył z daleka, bo gdzieś aż z Serbii, a dąży jeszcze dalej, bo na Wschód, hen—do Taszkentu. Zatrzymali się pod Warszawą, by nieco grosza zarobić na dalszą wędrówkę: zaledwie więc ustawiono szatry, związano wozy, spętano koni, jak tu i tam zapłonęły ogniska i uderzył młot kowalski. Tabor liczny a pełen gwaru i ruchu;—widzisz ogorzałe a smagłe postacie mężczyzn w barwnych strojach, o włosach kruczych i oczach jak czarne kamienie błyszczących; tu i tam na murawie wywraca się dziatwa cygańska, w kociołkach zawieszonych nad ogniem stare niewiasty warzą strawę wygłodzonej gromadzie a młodsze i piękniejsze nęcą przechodniów obietnicą wróżb niekłamanych.

Nie uchylam się nigdy od wróżb tych, bawią mnie one, a nadto wieją urokiem bardzo dawnych i bardzo rozkosznych wspomnień.

— Daj grosz, panoczku!

— Masz dwa a powiedz mi bajkę...

Lubię cyganów.

Potrzebne są wycieczki za miasto, ruch spacerowy, wchłonięcie piersią świeższego powietrza, ale jeżeli z tych zamiejskich wędrówek ludzie dorośli korzystać według swej woli mogą, drobna dziatwa musi się zadawalniać Łazienkami i Saskim ogrodem. Ale cóż gdy te jedyne ogrody miejskie roją się takiemi tłumami, że kurz powstały zanieczyszcza zkąd inąd czyste powietrze, a maleństwa, ledwie od ziemi odrosłe krztuszą się i kaszlą, szczególnie podczas spacerów w ogrodzie Saskim.

Może w przyszłości będzie lepiej,—według przygotowanych planów Warszawie parę nowych parków przybędzie.

Ku końcowi się zbliża urządzenie parku przy Ujazdowie—aż oto dowiadujemy się, że przyszła wystawa hygieniczna, która dla różnych powodów odłożoną została do jesieni r. 1896-go, odbędzie się w nowym parku, który do tego czasu ma być założony—na Koszykach.

Cóż robić—czekajmy!

Z nastaniem pierwszych dni Maja, godnego pochwały za ciepło słoneczne, którem nas od dwóch tygodni stale obdarza—znany powszechnie i powszechnie ceniony Zakład gimnastyczno-leczniczy pani Heleny Kuczalskiej znajdujący się przy ulicy Mazowieckiej, przeniósł się do jednego z ogrodów w Alei Ujazdowskiej, jak to już od paru lat bywa. Oprócz zwykłej gimnastyki, uprawiane tu będą na świeżem powietrzu gry różne i zabawy towarzyskie, jak: krokiet, chodzenie na szczudłach, piłka, lawntennis i inne. Zabawy będą się odbywały w różnych porach dnia, pewne zaś godziny zostały przeznaczone dla osób starszych, które pod osłoną drzew i w oddaleniu od ciekawych oczu ludzkich, mogą zapomnieć o powadze swojego wieku i z całym zapałem oddać się ruchliwej zabawie, wzmacniającej członki i nieraz humor kwaśny poprawiającej.

Ach, ten humor kwaśny, jak on czasem bez widocznej przyczyny nawiedza człowieka. Daremno pytasz o powód niesmaku—choćby chciano, odpowiedzi ci dać nie potrafią. Nic zdaje się duszy ani ciału nie dolega—żadnej się nie doznało przykrości ani zmartwienia, a mimo to brak czegoś, czegoś niedostaje.

Co to jest?

Ot, nic innego tylko niedostatek potrzebnej gimnastyki dla ciała. Bo choćbyś treptał przez cały dzień po ulicach miasta, biegając za interesami, albo przechadzał się z pokoju do pokoju, ustawiając sprzęty, które ci pokojówka nie tam, gdzie chciałeś, ustawiła: ruch taki, jakkolwiek bez zaprzeczenia jest ruchem, nie dodaje potrzebnej energii twym członkom i nuży zamiast je pokrzepiać. Co innego zapomnieć się chwilę, że się nie jest dzieckiem i parę skoków za odbitą piłką uczynić, zwrócić całą uwagę na jej lot napowietrzny, podbiedz, w czas schwycić, uprzedzić się nie dać współtowarzyszom zabawy i odbić ruchem zręcznym: zabawa taka na świeżem powietrzu, połączona z gwarem wesołym, śmiechem i żartami—wybornie oddziaływa na twoje roztrojone nerwy, rozmiękczone mięśnie, na płuca odwykłe od wchłaniania większego zapasu powietrza. Zakład panny Kuczalskiej wypełnia te braki. Nawiedzcie go, kwaśne humory, a zobaczycie, że kilka chwil cukrowych mieć będziecie.

Nie cukrowo jest tym jednak, którzy są w potrzebie szukania sobie lokalu.

Nie każdy urodził się Krezusem, a tu Krezusem być potrzeba, by—mając nieliczną nawet rodzinę—jako tako umieścić się z nią można było. Rok rocznie przybywa miastu jakaś setka kamienic, w miarę jednak ich wzrostu, wzrastają i ceny mieszkań, tak, że obecnie za pięć pokoików na piętrze drugim siedemset rubelków wydusić z kieszeni musisz i to radować ci się każą, żeś tak tanio mieszkanie wynajął.

Lecz niejeden daremno by dusił ubogą kabzę swoją—nic z niej nie wyciśnie.

Doprawdy, że wielkie pytanie tu staje, co zrobisz z sobą?

Ha! zostają poddasza—tam muszą tłoczyć się rodziny uboższe, którym żadna komisya sanitarna nic nie pomoże, muszą wilgotnem oddychać powietrzem, piec się podczas letnich upałów, marznąć wśród zimy, być narażonymi na tysiące dolegliwości i chorób.

— To nic—panie dobrodzieju—mówił mi jeden z właścicieli nowonabytego domu. Obawy teraz o nic nie ma—na dyfteryt jest surowica, a jeżeli kto i suchot dostanie, to pan dobrodziej słyszał zapewne, że już w Niemczech pojawił się jakiś Hartmann, który radykalny środek przeciw gruźlicy wynalazł. Jeżeli ludzie nie mogą płacić za dwa pokoje po trzysta, a za pięć po siedemset rubli—niech walą do suteryn bez żadnej obawy. Dawniej to człek miał litość nad ich zdrowiem, lecz teraz jestem zupełnie o to spokojny. Zakaszle biedak, za gardło się chwyci—wstrzykną mu raz, dwa jakiś medykament—i już!

Doprawdy, że panowie Bergmann i Hartmann na wiekopomną pamięć zasłużą u nas.

Obiecałem wam, szanowni czytelnicy, napisać coś o Józiu Hofmanie po wysłuchaniu jego koncertu. Spóźniona byłaby relacya o doskonałej grze młodego wirtuoza, gdyż wszystkie pisma wypowiedziały się już o nim, oddając należne uznanie wielkiemu talentowi.

Dwa pola u nas nie leżą odłogiem: malarstwo i muzyka. Pierwsze wciąż kwitnie, a jakkolwiek *nowych* wielkich talentów nie można się w danej chwili dopatrzeć, *dawne* przypominają się nam wciąż i nie pozwalają swej palecie wysychać.

Świat zaś muzyczny wzbogaca się ciągle.

Ciekawym jest *wypadek*—który posłużył p. Augustowi Radwanowi wstępnym bojem zdobyć serca Paryżan.

Na koncercie dobroczynnym „w Théâtre d'application," znajdował się nasz artysta jako słuchacz zwykły. W trakcie koncertu przychodzi telegram od mającego wystąpić tenora Vagnet'a, że z powodu nagłej słabości przybyć nie może. Dla komitetu urządzającego koncert wiadomość ta była wielce niemiłą, lecz z kłopotu go wybawia rzeźbiarz nasz, Godebski, podsuwając myśl, zastąpienia tenora Radwanem.

Pan August nie dał się prosić. W tużurku i czarnym krawacie wstępuje na estradę i od razu zdobywa publiczność francuzką.

Nie na tem jednak koniec.

W części drugiej koncertu zawiadomiono z estrady, że znakomita aktorka komedyi francuzkiej, a razem ulubienica paryżan panna Reichenberg zasłabła równie i—przybyć nie może.

Co tu począć?

A no, znów się zwracają do Radwana.

Wybór ten wita publiczność burzą oklasków — Radwan zagrał „Rapsodję" Liszta, za którą został trzykrotnie przywołany.

W ten sposób zyskał odrazu rozgłos, bez reklam, urządzeń własnych koncertów i szumnych zapowiedzi.

Dziś Paryż wie już kto jest August Radwan i—gdy z własnym wystąpi koncertem, o powodzeniu wątpić nie może.

Szczególny traf, dla artysty—szczęśliwy!

??

TRZY CHWILE

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Zaszczyt poprowadzenia królowej balu do kolacyi, otrzymał p. Bolima, jako gość uprzywilejowany. Gdy z wytworną galanteryą pochylił się przed Kicią i podał jej ramię, Kicię, mimowolnie przebiegł dreszcz lekki. To ją podraźniło. Nie umiała-by zdać sobie sprawy, czemu właśnie p. Bolima budził w niej lęk jakiś? Było to coś nieokreślonego, uczucie bojaźni niewytłómaczonej, którą, uczuwamy naprzykład w gorący dzień letni, gdy niebo nagle zasępi się chmurami, ciężkość jakaś spadnie na piersi, powietrze przesycone elektrycznością i taka cisza, cisza w około, że i drzewa stoją nieruchomie i ptaki milkną, rzeki stawy i strumienie, wydają się jak zaklęte. Przyroda i ludzie, oczekują czegoś nieokreślonego. co wyższe jest po nad wolę naszą...

Kicia uczucia tego doznała przy boku p. Bolimy. Bo i czemu on tak dziwnie na nią patrzy!... Wzrok jego pełen siły, sięga głęboko, jak gdyby duszę chciał przeniknąć Przy kolacyi mówił niewiele... zdanie jednak każde, nacechowane było i myślą głębszą i w szatę wytworną przybrane i — uderzało oryginalnością, bez odrobiny pozy i chęci wywołania efektu.

Baczny na każdy ruch, spojrzenie Kici, usługiwał jej jak gentleman prawdziwy, a głos jego metalicz-

ny o nizkiem brzmieniu, wpadał jej w ucho jak muzyka, o ile nie zagłuszał go, rubaszny śmiech p. Ignacego, siedzącego naprzeciw żony. — Tak, tak! — opowiadał... głośno swojej sąsiadce, która, słuchała go z łaskawie przymrużonemi oczyma i litosnym pół uśmieszkiem. Gdyby nie ja, zapleśnielibyśmy na wsi oboje, jak grzyby!... Żona moja, posiada raczej powołanie na zakonnicę... Nie ma w niej zgoła upodobań zwykłych śmiertelnikom. Zbyt często muszę ściągać ją z obłoków na ziemię... Eteryczna, bardzo eteryczna!

Śmiał się, mówiąc to—głośno, rubasznie. Kicia, nie lubiąca by na nią zwracano uwagę i którą, głośna rozmowa i śmiech męża, w salonie arystokratycznej kuzynki, ambarasowały, bawiąc się zręcznie wachlarzem, z piór białych ukrywała rumieniec upokorzenia i przykrości doznanej. Panu Ignacemu' gdy się wywnętrzać zaczął, nikt by już wtedy przeszkodzić nie zdołał.

Trudno było o większy kontrast, nad różnicę istniejącą pomiędzy moralną i fizyczną postacią małżeństwa tego, które, wytrawnemu światowcowi Bolimie, przedewszystkiem, wydawało się w całem słowa znaczeniu, niedobranem.

— Księga przyrody — rzekł do Kici p. Bolima w odpowiedzi niby na głośno wypowiedziane zdanie powyższe p. Ignacego—zawiera tyle tajemnic, tyle cudów, że bynajmniej się nie dziwię, iż łaskawa pani należąc do tych szczęśliwych, którzy, czytać w niej potrafią, przekłada pełne prostoty powaby wsi, nad zgiełk i sztuczne ożywienie miasta. Od pierwszej chwili gdym panią ujrzał, odgadłem. — Nie dokończył. Zagadkowe jego spojrzenie, zatrzymało się badawczo na twarzy młodej kobiety. Kicia, której delikatne ucho w umyślnie zrobionej pauzie, dosłyszało ciąg dalszy tego, czego usta dopowiedzieć nie chciały, kiedyindziej, nie lubiąc wytwornych i subtelnych nawet komplimentów byłaby wprost zmieniła przedmiot rozmowy; teraz—w swojej obojętności zwykłej i swobodzie towarzyskiej, którą, w wysokim stopniu posiadała, uczuła się nieco zachwianą i upokorzoną. Zdawało jej się, że uśmiech konwencyonalny na twarzy Bolimy, przybiera odcień sarkazmu. Oczywiście nie dziwiło by ją to wcale. Jak najzwyczajniejsza parafjalna gąska, odpowiada mu monosyllabami, rumieni się... Bolima, jest pierwszym mężczyzną, który jej zaimponował. A przytem, ta dziwna jakaś obawa!...

— Istotnie, nie lubię miasta — rzekła wreszcie zdobywając się na odpowiedź.—Przykro mi, że nie mogę—jak być powinno—podzielać gustu męża mojego. Ukochałam wieś, nade wszystko!...

— Pojmuję! — przerwał Bolima z poważnym uśmiechem.—Trudno byłoby wśród murów miasta, dymiących kominów fabrycznych, wobec tej ustawicznej walki o kawałek powszedniego chleba, ulecieć myślą w krainę poezyi... Chyba na najwrażliwszego ducha szary ten koloryt kładzie swoje piętno...

Kicia, łagodne oczy zwróciła na niego.

— Mówiąc że kocham wieś, nie myślałam o poezyi—rzekła z prostotą.—Urodziłam się w wiejskiem zaciszu, szum lip starych kołysał mnie do snu, kąpała szafirowa woda Warty, na jej brzegach o złocistym piasku, stawiałam pierwsze kroki... Człowiek tak się zrasta ze swojem otoczeniem że po za tem, na co wzrok jego wciąż się zwraca, trudno mu inne dostrzedz piękności.

Uśmiechnęła się smętnie, tym uśmiechem słodyczy i melancholii, który, dziwnie ją upiększał i serca zniewalał. I na Bolimie uczynił wrażenie. Mimowoli pomyślał, że wiele by poświęcił, by znać przeszłość tej kobiety, poruszyć drzemiące struny jej serca, zmącić głębię tych błękitno - szarych oczu które, zimno i spokojnie patrzyły na wszystko. Ta śliczna kobieta, albo kochała nieszczęśliwie niegdyś, przed laty, albo, nie kochała wcale... powiedział sobie Bolima, wytrawny znawca serc kobiecych starając się być jak najbliżej Kici, póki zmęczona i znudzona, nie pożegnała go lekkim ukłonem, odjeżdżając dość wcześnie do domu.

— Zawróciłaś mu głowę... ma *toute belle*—szeptała panna Helena wieszając się u ramienia Kici, z błyszczącemi zazdrością oczyma.—Czy wiesz? dotąd najpiękniejsze i najzręczniejsze, nie dokazały tego, by choć cieplejszy uśmiech na kamiennej twarzy rzymskiego patrycyusza, wywołać... Szczęśliwa...

Kicia, wzruszyła ramionami obojętnie.

— Jestem pewną, że się mylisz... — odparła, — ale jednocześnie uczuła niepokój i jakby olśnienie. Nie kontenta z siebie, odwróciła się od Heleny i wzrok jej padł na postać Bolimy, stojącego w drzwiach przeciwległych. Istotnie, na ciemnoponsowych fałdach portjery, głowa jego na dumnym osadzona karku i twarz wyrazista i matowo blada, czyniły poprzednie porównanie Heleny, zupełnie słusznem. Czarne jego oczy, miały w tej chwili wyraz niezłomnej, nieugiętej woli. Snadź myślał o czemś, czego dokonać pragnął, a co nie łatwem mu się zdawało... Tym lepiej! Kruszyć, giąć, łamać, lecz zwyciężyć zawsze, za jaką bądź cenę...

Serce Kici znów niespokojnie zabiło. Zasunięta potem w głąb karety, gdy p. Ignacy, chrapaniem prawie turkot tejże zagłuszał, rozmyślała i czyniła sobie wyrzuty. Myśl jej, zajęta choć chwilowo innym, wydawała jej się występkiem.

* * *

„Kielichom lilii marzącej
„Tchnienia mej duszy udzielę,
„A kielich lilii wydzwoni
„Piosnkę o moim aniele"!...

Jakie śpiewne miękkie tony posiadał głos p. Bolimy, gdy deklamował Hejnego, wsparty o fortepian, którego dźwięki wywołane prawdziwie artystycznemi paluszkami Kici, niedawno umilkły. A jakie gorące namiętne spojrzenie obejmowało jej głowę pochyloną nieco, z różą białą w ciemnych splotach drżącą!... W białej sukni, szczupła i wiotka, z cerą bardzo białą i delikatną, z zadumą na czole i tym zagadkowym, smętnym uśmiechem, miała pozór raczej dziewicy nieświadomej życia i jego tajemnic, niżeli mężatki, której, to życie właśnie nie dając rozkoszy, dało jednak doświadczenia trochę. W ręku trzymała lilję białą z bukietu wyjętą i kwiat ten, prawdopodobnie przypomniał Bolimie wierszyk Hejnego.

— Pani lubi Hejnego? — spytał stłumionym głosem i nie czekając odpowiedzi deklamował dalej:

„Piosnka to rzewna liljowa
„Jak całus w niebo popłynie
„Jak całus dany przed laty
„W najsłodszej życia godzinie".

A widząc zmarszczoną gniewnie brew Kici, szepnął:

Przebaczenia! Wszak powtarzam słowa poety, który, lubił opierać się na realistycznym gruncie. Nakoniec wiemy przecież oboje, że wyraz ten wywołujący niezadowolenie pani, był niemniej treścią, owej „najsłodszej w życiu godziny." Uwielbiam Hejnego!

Kicia, zarumieniona milczała.

— Czy też pani już kochałaś?—spytał, po chwili pochylając się ku niej tak raptownie, że aż zadrgnęła.

— Nie upoważniłam pana do pytań w tym rodzaju—odparła dumnie.

Bolima, skłonił kornie głowę.

— Nie powinno panią obrażać — rzekł nieco zmieszany. — Któraż z kobiet nie kochała, nie kocha, lub kochać nie będzie? Jest to tylko kwestyą czasu, bo nieubłaganem jest prawo serca i nawet tak chłodne i dumne istoty jak ty pani, uledz mu muszą.

— Pan zapomina, żem już od lat paru, prawu temu uległa—uśmiechnęła się Kicia z przymusem.— Za dni kilka wydajemy bal, z okazyi trzyletniej rocznicy ślubu naszego. Ignaś, w celu uświetnienia tejże, tydzień już w Warszawie bawi.

Zartowała, ale wargi drżały lekko, szarą barwę oczu podnosił znowu ów błysk szmaragdowy w chwilach tylko wysokiego rozdrażnienia lub wzruszenia, zjawiający się w oczach Kici.

— Jesteś pani istotą wybraną...—szepnął bardzo cicho Bolima.

— Zostaw pan komplimenta dla tych, którzy się nie znają na ich wartości. — uśmiechnęła się Kicia i powstała.

Białe draperye kaszmirowego szlafroczka opadły miękko w koło jej postaci wysmukłej i wspaniałej. Bolima, swych przenikliwych oczu z niej niespuszczał.

Dla niego, który, tyle już w życiu widział, tyle rozkochał kobiet i na ich moralnej wartości znał się doskonale, ta dumna a razem słodka Kicia, była zjawiskiem zbyt uroczem i niezwykłem, by mógł obojętnym pozostać.

Gdy ją ujrzał, umysł jego, analizujący zawsze krytycznie rzecz każdą, gubić się począł w labiryncie wątpliwości i zdań sprzecznych. Czyżby istotnie zamiast motyli lub sroczek, bo na pracujące mrówki nie zwracał uwagi, a kobiety na te trzy kategorye podzielił, znalazł wreszcie taką, która, nie tylko postacią do aniołów jest zbliżona? Ach, wdzięczność by czuł dla niej, prócz miłości, że może coś jeszcze na świecie szanować i uwielbiać. Rok upłynął, gdy pierwszy raz zobaczył Kicię. Odtąd obserwował ją pilnie, ciekaw, czy na dnie tych głębokich oczu nie tli się iskra sympatyi żywszej dla niego, której tylko zimny głos rozsądku w płomień rozżarzyć się nie pozwala. Chcąc być bliżej przedmiotu swoich marzeń obaw i nadziei, nabył wystawiony na sprzedaż publiczną Głuszyn, graniczący z wsią dziedziczną p. Ignacego i w nim zamieszkał.

Tułacze życie jakie wiódł dotąd po za granicami kraju sprzykrzyło mu się...

Starość ku spoczynkowi dąży...—śmiał się odpowiadając na liczne pytania znajomych.—Cisza wiejska, rozkosze wiejskie, których dotąd nie znałem... pociągają mię jako nowość bardzo przyjemna!... Idylla, sielanka!—Kicia tylko nie uwierzyła temu.

Lotny umysł Bolimy, nie potrafił by zamknąć się w ciasnym choć pożytecznym zakresie gospodarskich zajęć i obowiązków. Potrzebował on szerokich horyzontów, wielkich czynów, zaprawnych niebezpieczeństwami, które by mu obiecywały walkę... Dla tego tak namiętnie lubił polowania w Afryce, z rozkoszą zwiedzał miejscowości dokąd cywilizacya nie dosięgła jeszcze i lubował się surową pięknością północy.

— Jestem obecnie sąsiadem pani o tyle blizkim, że z pewnością niezadługo się uprzykrzę?...—rzekł, oddając wizytą Wierzejskim, w kilka dni po objęciu Głuszyna i patrząc błagalnie w oczy Kici!

Ileż by on oddał za to, by dostrzedz, choć odrobinę zainteresowania, maleńki błysk radości na tej marmurowo spokojnej twarzy. Kicia, uśmiechnęła się lekko.

— Muszę oczywiście zaprzeczyć—rzekła.

— Przez grzeczność...—przerwał szybko Bolima.

— Nie będziemy się sprzeczać o wyrażenia—odparła chłodno. — Pewną jestem, że mąż mój, rad będzie zawsze sąsiadowi... I nic więcej!... A przecież inna — bo nie mogła wątpić że zrobił to dla niej, — byłaby go spojrzeniem chociaż wynagrodziła.

Tak rozumował Bolima, obrzucając w myśli Kicię, to wyrzutami, to słowami uwielbienia, które wciąż wzrastało. Rezultatem oczywiście owego blizkiego sąsiedztwa było, że zakochał się w niej jak młodzik, jak szaleniec, a zmuszony ukrywać swoje uczucia, burzył się, trawił niepokojem i rozpaczał, przeklinając wyidealizowane—jak zgorzkniały twierdził, — prawa moralne, poczucie obowiązku i wiele innych względów krępujących ich oboje.

Dziś właśnie, czy to słodka pieśń Waltera z Meistersingerów, której, Kicia, skrzypcom jego na fortepianie towarzyszyła, czy piękny zachód dnia letniego, usposabiający do marzeń, czy trudno mu już było panować nad sobą dłużej, dość, że modlił się prawie do niej oczami, a głos mu drżał, gdy mówił o tęsknocie wielkiej, jaką w ciągu ostatnich dwóch miesięcy umyślnie zdala od niej spędzonych, czuł tam, na szczytach Alp, błądząc z uśmiechem lekceważenia na ustach. Czem że były urwiska zdradliwe, czem przepaście u stóp jego rozwarte, czem głębie jezior o powierzchni pozornie gładkiej po których czółno jego mknęło bez steru, w obec trwogi o serce własne.

Bolima, wzburzony, zgorączkowany, zgiął przed Kicią kolano. Kocham panią!... szepnął całując kraj jej szaty na nic już nie pomny.

Lecz co to się stało? Odepchnięty nagle, zerwał się... przed nim stała Kicia, drżąca oburzeniem i gniewem, który, rozpalił jej w oczach zielonawe błyski. Chwytała piersiami powietrze, bo trudno jej było głosu dobyć.

— Kto pana upoważnił do wymówienia tego słowa? spytała wreszcie, druzgocząc go spojrzeniem dumy i obrazy. Czy w ten sposób wywzajemniasz

się pan sąsiadowi że ci dom swój otworzył i zaufaniem obdarzył?... O! to niegodne uczciwego człowieka!—dodała z wybuchem.

Bolima, zbladł śmiertelnie. Widząc atoli, że Kicia drży i chwieje się, przemocą prawie ujął jej ręce i nakłonił, by usiadła.

— Pomówmy spokojnie—rzekł stając przed nią z rękoma skrzyżowanemi na piersiach, starając się pokonać wzruszenie.—Nawet od ciebie pani nie mogę przyjąć tego, com usłyszał przed chwilą. Poglądy moje różnią się może od twoich, niemniej mają swoją racyonalną podstawę i nieuczciwemi nie są... Gdym panią raz pierwszy w towarzystwie jej męża ujrzał, odgadłem, że nie wiąże was ta nitka sympatyi serdecznej, która, przecież, jeśli małżeństwo ma być szczęśliwe, łączyć was powinna. Nie wiązały was przytem ani poglądy wspólne, ani cechy charakteru podobne, nic z tego, jednem słowem, co u dwojga ludzi mających przejść życie razem, wytwarza zobopólną życzliwość i harmonię. Nie znam dotąd przyczyny, która, skłoniła panią wybór niestosowny uczynić...

— Panie Bolima!—zawołała z oburzeniem Kicia.

— O! nie gniewaj się pani! — przerwał błagalnie ale z siłą i powagą, która jej imponowała. Lata i doświadczenie popierają moją sprawę. Jam już nie młodzik, zachwycający się bezmyślnie wdziękami kobiet, nie Lowelas salonowy, goniący za chwilową rozrywką... Małżeństwa zbyt często niestety, zawierają się u nas po znajomości krótkiej, bez uprzedniego zbadania charakterów stron obu. Często odrobina flirtu, chwila jakiejś ułudy gdy nam się wydaje że spotkaliśmy ducha pokrewnego sobie, zwiąże dwoje ludzi na życie całe... Czy przeto ci, którzy omyłkę popełnili, nieszczęśliwymi pozostać mają? Kto korzyść jaką z tego odniesie?

— Węzła raz zadzierżgniętego nie należy rozwiązywać... — szepnęła Kicia głosem tak zmienionym, że Bolima przerażony, drgnął... — Każdy świadom jest czynów swoich i miał zawsze czas zastanowić się...—dodała z mocą.

— Młodość, niedoświadczenie!... — perswadował Bolima. — Zresztą węzeł ten nierozerwalnym staje się wówczas, gdy...—Zawahał się...

Purpurowy rumieniec oblał bladą twarz Kici. Jakże mu się piękną w tej dziewiczości przeczystej, wydała.

— W żadnym razie, rozwiązanym być nie powinien—powtórzyła uparcie.

— Czy pani przypuszcza, że serce wyrzecze się praw swoich?

— Należy je zmusić do tego!...

— Zmusić? O, nie pani! — zawołał namiętnie. Prędzej, czy później upomni się ono o swoją cząstkę, a gdy mu jej pani odmówisz, mścić się będzie bólem, tęsknotą, złamanem życiem w ustawicznej z sobą walce. Nie tacy ludzie, jak my oboje, wyrzec się mogą miłości!... — Zamilkł wzruszony i rękę przycisnął sobie do czoła. — Pani się łudzisz... — szepnął miękko—i ta duma twoja i chłód ten pozorny, nie stłumią gorącego bicia twego serca... I pani powtórzysz kiedyś z poetą:

„Ja wierzę—mniejsza, co ma być—
„I czuję choć mam bólem płacić,
„Że lepiej kochać i utracić,
„Niż bez miłości wiecznie żyć.“

Ostatnie wyrazy skonały mu na ustach w cichym ledwo dosłyszalnym szepcie. Cierpiał okropnie. Kochał po raz pierwszy w życiu i pragnął, by ukochana przez niego kobieta podzieliła z nim złą lub dobrą dolę, by znalazł w niej odbicie swojej własnej duszy, by ręka w rękę, idąc, rozsiewali w około dobro i szczęście, sami spokojni i szczęśliwi.

— Gdybyś pani zechciała — zaczął znów łagodnie pochylając się ku niej, — o! gdybyś zechciała tylko i znalazła dość siły do krótkiej zresztą walki z opinią tego bezdusznego świata, jakże bylibyśmy szczęśliwi! Złoto, które posiadamy oboje, najzawilsze kwestye uprości i przyśpieszy. Uzyskamy rozwód... P. Ignacy pocieszy się wkrótce...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Stanęła przed nim tak marmurowo spokojna, jak gdyby pierś jej nie poruszała się łkaniem tłumionem i serce nie toczyło walki pomiędzy obowiązkiem, a uczuciem.

— Zechciej pan zostawić mię samą—rzekła wyniośle. — Przebaczając wyrządzoną mi zniewagę, winna ci jestem prawdę...

Odetchnęła mocno i opierając rękę o poręcz fotela, pełną piersią zaczerpnęła powietrza.

— Nie kocham pana, panie Bolima! — dodała wolno, wyraźnie i bardzo dobitnie. Skłoniła lekko głowę i wyszła, a on, z bólem, który w słowa ująć się nie da, patrzył, jak biała jej szata kładła się na zielonej murawie ogrodu, aż znikła mu z oczu zupełnie.

Zdala od bogatych w kwiaty klombów, od misternie urządzonych grot i wodotrysków, tam gdzie strumyk jeno po kamykach szemrząc łagodnie biegł ku olszynie na łąkach rosnącej, Kicia zatrzymała się... Jaki tu spokój, jaka cisza! Ptaszki ukryły się w gniazdach lub zasypiały w gąszczu liści zielonych, kwiaty pozamykały kielichy, ostatnie błyski odchodzącego słońca wkradły się przez drzew gęstwinę, tony fujarki pastuszej het, gdzieś za rzeką, śpiewały piosnkę pożegnania.

Lecz to wszystko co milknie i zasypia teraz, rankiem zbudzi się do życia wesoło. Czyżby i ból na który Kicia położyła dłoń pogrzebną, odżył jutro na nowo?

Zadumana patrzyła w dal i myśl pobiegła w step szeroki, daleko daleko... dokąd zwykle uciekała smutna, stęskniona. Jakże spłowiałe już i wyblakłe barwy miał obraz, głęboko dotąd w pamięci jej wyryty!

* *
*

P. Ignacy Wierzejski, najniespodziewaniej pożegnał się, z nadto wesołemi uciechami tego świata. A stał się fakt ten smutny dla niego, akurat w ósmą rocznicę owego dnia, kiedy Kicia, ta eteryczna żona jego jak ją do śmierci nazywał — wyrzekła się pragnienia osobistego szczęścia, dla—obowiązku pozostania mu wierną.

Po niezwykle obfitych libacyach u sąsiada takiego, jak i p. Ignacy hulaki, zachciało się panom biesiadnikom, na kaczki pojechać. Stawy istotnie były rozległe i cyranek w nich moc nieprzebrana, że jednak z czupryn się kurzyło, należało po rozum do głowy iść i projektu zaniechać! Trudno wszakże wytłómaczyć choć by najgłupszą rzecz takiemu, który, wszelaki jaśniejszy pogląd, węgrzynem zalał ze szczętem. Pojechali. P. Ignacy, że to po kieliszku fantazyi okrutnej nabierał, dubeltówkę nabił, świsnął na psa i nie czekając na przewoźnika, na staw wypłynął. Z brzegu wołali, perswadowali... nie słuchał. Płynął sobie tedy z psem, dubeltówką i flaszką, starego wina od przypadku. Może być chłodno na wodzie... mówił śmiejąc się, gdy ją do kieszeni pakował na odjezdnem. Może w sitowiach przyjdzie długo czekać... Przezorność nigdy nie wadzi!—Ani się spodziewał nieborak, że już ostatnią biedę jaką można człowiekowi wyrządzić, to mu nic innego, jeno ta niewinna flaszka węgrzyna wyrządzi. Poprowadziła go niepoczciwa na manowce. Krążył, krążył po stawie upatrując cyranek i popijał a popijał... Co się dalej stało — nie wiadomo, bo pies który do brzegu zziajany przypłynął, mówić nie umiał, jeno wył żałośnie.

Nazajutrz dopiero, złowili w siecie pana Ignacego, jakby jaką osobliwą rybę.

Na szczęście, żona jego z dziećmi, była u matki i zawiadomiono ją dopiero wówczas, gdy ciało nieboszczyka w kościele postawiono. I takim sposobem Kicia, została wdową z trojgiem miluchnych dziatek i niezliczoną liczbą długów, które jej małżonek w spuściznie zostawił.

W ciągu tych ośmiu lat ubiegłych, zdążył spustoszyć majętność swoją o tyle, że oprócz Jagodnej, nic nie zostało.

Jakie tam było życie Kici przy nim — lepiej nie wspominać. Toć i zimne serce się rozczuli gdy widzi że drugiemu ciężka krzywda się dzieje?... Przeszło... minęło!... Dobrze że Bolima gdzieś przepadł w Afryce, bo go przynajmniej serce nie bolało że cierpi tyle, biała, czysta jego gołąbka.

Po uregulowaniu interesów, po sprzedaniu dwóch, folwarków należących do Jagodnej, dla uzupełnienia pozostałych po nieboszczyku zaległości, Kicia, zamieszkała u matki. Trzeba było myśleć o przyszłości chłopców, oddać się gospodarce i rachunkom, interesom powikłanym tak chaotycznie, bezładnie, że trudno było dojść z tem wszystkiem do ładu. W mieście gubernjalnem, o mil parę od Jagodnej oddalonem, mieszkał młody adwokat, Ryszard Żaliński i jego to Kicia, jako prawnego doradcę swego, obrała. Trudno było by wybór lepszy uczynić. Człowiek był rozumny, szlachetny i uczynny, jak mało. Wyzyskiwać nie umiał, bo sam dla siebie nie potrzebował wiele, a to, co uczciwie za pracę swoją otrzymywał, starczyło dostatecznie na utrzymanie wygodne starego ojca i trzech siostr niemłodych panien, które przy nim mieszkały.

P. Ryszard Zaliński, od razu zjednał sobie sympatyę i zaufanie Kici i jej matki. Tadzio i Władek, już przy pierwszej wizycie, obdarzyli go dowodami swej życzliwości. Tadek, pokazywał swoje, zabawki, trzyletni Władzio usnął mu w objęciach. Kicia uśmiechała się pobłażliwie, lecz ze zdziwieniem pewnem. Dzieci, jak matka, do zawierania znajomości wcale łatwe nie były.

P. Ryszard, obowiązkowo, co sobota do Jagodnej przyjeżdżał. Często gdy zajęcia miał więcej zostawał na niedzielę, czyniąc tem nie małą dzieciom a nawet i starszym przyjemność. Kicia, patrząc na niego, przypominała sobie Władysława. Było coś pokrewnego pomiędzy nimi i tem większą, Ryszard, zjednywał sobie jej sympatyę.

Życie w Jagodnej płynęło teraz cicho, spokojnie. Kicia, bardzo gorliwie gospodarowała, uczyła swoich małych chłopców, pieściła Kazię. Od świtu prawie do wieczora czynna, z wytrwałością żelazną znosiła trudy i kłopoty gospodarskie, nie oszczędzając się bynajmniej. W ciągu tych lat ośmiu, nie wiele się zmieniła. Rzecz dziwna! Przypominała teraz więcej ową Kicię dawną, której pełno było w każdym zakątku w Jagodnej. Czoło miała zawsze pogodne, oczy blasków pełne i uśmiech na ustach. O przyczynę tej zmiany, pytać należało Tadzia, Władka i małej Kazi. Trójka ta, wesołych, ślicznych jak cheruby dzieci, przeistoczyła ją zupełnie.

Jedenaście lat z p. Ignacym przeżytych inną, mniej zahartowaną i silną, było by ostatecznie zgnębiło. Kicia, mężnie znosiła wszystko i ukrywała, przed matką nawet, bó! i cierpienia swoje i szalone męża wybryki. W paru latach ostatnich, nieszczęsny nałóg tak wziął nad nim górę, że rzadko kiedy, trzeźwym znaleźć go można było. Z idyociał też bardziej jeszcze a że upór był w nim niesłychany, nic dziwnego, że nie chcąc przyjąć rad życzliwych, końca tragicznego się doczekał.

Kici, w ciemnych splotach pojawiło się kilka nitek srebrnych, lecz uśmiech mimo to miał wdzięk młodości jak i twarz jej, zawsze jeszcze piękna i szlachetna.

Dnia pewnego, w lat parę po śmierci męża, Kicia, zmęczona, w pokoju swoim przy kominku usiadła. Wstała dziś bardzo rano, wyjeżdżała do miasta, zkąd powróciła w towarzystwie p. Żalińskiego, smutna i stroskana.

Stan majątkowy Jagodnej, niezbyt świetnie się przedstawiał. Wszelkie wysiłki Kici, okazały się niedostateczne, gdy zdarzyło się kilka klęsk w gospodarstwie, których, uniknąć trudno było, a które wszakże przy braku gotówki, sprowadziły cały szereg kłopotów. Należało coś radzić, czy pożyczkę Towarzystwa zaciągnąć... P. Żaliński miał to rozpatrzeć i przeprowadzić.

Kicia, podjęła książkę i czytać zaczęła. Trzeba było umysł wzburzony przywołać do równowagi.

W sąsiednim salonie jadalnym, dały się słyszeć kroki szybkie i śmiech srebrzysty.

— Mamo, mateczko!—wołał Tadek za drzwiami jeszcze, a wtórowały mu głosy Władka i małej Kazi. Wesoła trójka wpadła do pokoju.

Twarz Kici wnet się ożywiła.

— Jestem, jestem!... — odpowiada—ogarniając rozradowanym wzrokiem swoją gromadkę.—Cóż się tam stało nowego?

Trzyletnia Kazia, wprosiła się na kolana matce i objęła ją rączkami za szyję.

— Pragnął-bym przejechać się sankami mateczko—prosił Tadzio. Mateusz powiada, że sanna taka, jakby po stole jechać...

Czteroletni Władek zrobił pokorną minkę.

— Ja nigdy jeszcze nie jeździłem po stole mamusiu—rzekł nieśmiało.

Tadeusz wybuchnął śmiechem.

— Mateczka słyszała? — wołał rozbawiony.— Władek myśli, że będzie naprawdę po stole sankami jeździł... to głuptas!

— Powinieneś objaśnić braciszka—rzekła poważnie matka.—Nie należy naśmiewać się z czyjejś nieświadomości Tadziu!

Chłopiec się zaczerwienił. Dumne, szare jego oczy spojrzały na matkę z pokorą i uwielbieniem.

— Już nigdy tego nie zrobię, mateczko—szepnął zawstydzony.

— Dokąd chcecie pojechać?—spytała z mimowolną dumą, przyglądając się myślącej i pięknej twarzy syna.

— Do lasu mateczko!—zawołali obadwaj. Kazia tylko przytuliła się mocniej do piersi matczynej.

— W lesie są wilki...—szepnęła z przestrachem. Bona widziała...

— Bona twoja jest wielki tchórz!—rzekł Tadek z powagą.—Ja się wilków nie boję!... Czytałem dziś p. Zalińskiemu polowanie na wilki w „Przyjacielu dzieci“. P. Żaliński mówił, że już dość płynnie czytam...—potrząsnął z dumą ciemnemi lokami.—Będę się teraz pilniej jeszcze uczył... dodał z powagą.

Władek oparł głowę na ramieniu matki.

— A ja mamusiu, a ja?—pytał.—Czy ja prędko będę umiał czytać? Jabym także chciał o wilkach p. Zalińskiemu czytać!...

— P. Żaliński jest Kazi, nie twój!...—zawołała obrażona Kazia, patrząc żałośnie na brata.

— Fe! to moja córeczka zazdrosna?—gromiła matka, nie mogąc powstrzymać usmiechu. Z twarzy jej, ożywionej teraz rumieńcami, zniknął bez śladu, smutek i przygnębienie.—Możecie przejechać się sankami—rzekła do Tadzia. Weźcie Mateusza i ciepło się ubierzcie, bo wiatr mroźny.

— P. Żaliński obiecał pojechać z nami—odparł napuszony dumą Tadzio. Będzie nam opowiadał, jak się tworzą sopelki lodu na drzewach i czemu, gdy u nas śnieg i zimno, gdzieindziej słońce świeci i kwiatki kwitną... Bardzom ciekawy!

— I ja pojadę mamusiu...—napierała się Kazia, lecz Władek zgromił ją surowo.

— Nie naprzykrzaj się!... Bądź grzeczna! P. Żaliński prosił, żebyśmy dziś wcale nie zbytkowali i nie męczyli mamusi, bo mamusia jest zmartwiona. Prawda Tadziu?

— Prawda!—potwierdził Tadek.—Już ja będę o tem pamiętał...

Kicia, zarumieniła się tak bardzo, że aż białe czoło i szyję rumieniec opłynął. Dziwnie młodo wyglądała w tej chwili. Trudno byłoby uwierzyć, że to matka tych ślicznych dzieci, które, z miłością do niej się tulą.

— Poślij Ludwika, niech Mateusz zaprzęga—rzekła głaszcząc główki chłopców.—Korzystajcie, póki jeszcze słońce świeci...

— Dzieci odbiegły uszczęśliwione, mała Kazia, zajęta lalką, zapomniała o zawodzie, jaki ją spotkał.

Kicia stanęła przy oknie. Jak wesoło, jak pięknie na świecie! To z pewnością zasługa słońca, które, w posępny, zimowy krajobraz potrafiło wlać wdzięk i życie!...

— Zapomniała, że nastrój wewnętrzny człowieka, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zmienia wszystko wokoło nas i zamiast barw smutnych, szarych, postrzegamy jeno jasne i wesołe!

(Dokończenie nastąpi).

List z Anglii.

Parlament kończy prace swoje, wkrótce też posłowie rozjadą się do wiejskich siedzib lub na ląd stały, jak to jest tutaj zwyczajem, zwłaszcza że w Londynie panuje w tym roku bardzo ciężka influenza i właśnie padł jej ofiarą jeden ze znakomitych uczonych tutejszych, Henryk Rawlinson, odkrywca ruin Babilonu i Niniwy, których gruzy odkopał z pod naleciałości wieków i odcyfrował wiele napisów, znalezionych wśród ruin tych miast umarłych. Zostawił też po sobie znaczną liczbę dzieł wielkiej wartości dla historyi ludów starożytnych i śmierć tę zaliczyć trzeba do wielkich strat nietylko jego rodzinnego kraju. Nędza, która gnieździ się tu stale w klasach ludowych, potęguje każdą epidemię, choć Londyn uważać należy za najzdrowsze ze wszystkich wielkich miast Europy, gdyż wyborna kanalizacya i zaprowadzony już od lat kilku system stawiania dla klas ludowych małych domków w miejsce tych ogromnych, wielopiętrowych kamienic, jakie się wznoszą na stałym lądzie, ma tu wielkie znaczenie swoje. Przecież komitet hygieniczny wymaga więcej jeszcze: żąda aby się zwiększyła liczba otwartych placów i skwerów, których zieloność nietylko miła jest dla oka, ale przykłada się do uzdrowotnienia powietrza.

Obok tego szpitale angielskie uznawać można za wzorowe, a dodać trzeba, że są one przeważnie dziełem filantropii społecznej. Według sprawozdania z 1893 r. naród angielski wydał na nie w ofiarach dobrowolnych sumę, odpowiadającą trzem milionom rubli, niemniej jeszcze to nie dość, bo pomimo tego okazał się deficyt niemały, bo przedstawiający dwa miliony rubli, to też komisya parlamentarna, utworzona dla zbadania nędzy klas ludowych, pracuje nad możliwemi środkami polepszenia tego stanu. Ale łatwiej to jest tworzyć projekta, niż rzecz w czyn wprowadzić i dwóch filantropów, należących do składu komisyi: John Burns i Keir Hardie, wykazało, że w państwie Wielkiej Brytanii, liczącej trzydzieści milionów ludności, znajduje się 5,250,000 osób, nie posiadających żadnych środków utrzymania. Gdyby skarb państwa dawał tym biedakom po sześć pensów dziennie, to jest po pół szylinga, kosztowało by to dziennie 131,000, tygodniowo 918,000, miesięcznie 3,697,000 funtów szterlingów, lecz zkąd wziąść tyle pieniędzy i jakie musiałyby być wtedy podatki? Mnożą się też w komisyi różne projekta, do ąd przecież nic zgoła nie uradzono.

Ale Anglia jest krajem wysoce filantropijnym. Obchodzono tu niedawno setną rocznicę urodzin szlachetnego miłośnika ludzkości, Jerzego Peabody, któremu Anglia i Ameryka zawdzięczają wiele instytucyi dobra ogólnego. Jaką była jego hojność pod tym względem dość wymienić, że widząc nędzę proletaryatu angielskiego dał na podźwignięcie przemysłu, któryby przez pracę podnosił możność jego utrzymania, ogromną summę pieniędzy, bo 500,000 funtów szterlingów. Chcąc mu okazać za to wdzięczność swoją parlament chciał mu dać tytuł baroneta, oraz wielki krzyż najwyższego angielskiego orderu Łaźni, ale nie przyjął żadnego z tych zaszczytów i zapragnął tylko, aby królowa Wiktorya napisała do niego list własnoręczny, któryby po śmierci jego został jako pamiątka i zaszczyt dla rodziny. Królowa, przychylając się do żądania, przyłączyła tu jeszcze i portret swój, a gdy umarł w 1869 r. w Londynie, zwłoki jego po uroczystem nabożeństwie żałobnem w katedrze westminsterskiej odwieziono do Ameryki, do Bostonu, gdzie pragnął spocząć na sen wiekuisty. Statek, który oddał mu usługę ostatnią, był najwspanialszym ze wszystkich okrętów Wielkiej Brytanii. W czasie pogrzebu nadeszła z Londynu depesza, wysłana przez królowę, która chciała wyrazy żalu wyrazić w uroczystej tej chwili.

Zasługi jego dobroczynności uwydatniają się w tym czasie jeszcze silniej w obec wielkiej niedoli ludu angielskiego, która w skutek szczególniej ciężkiej zimy i zarazem braku pracy jest ogromną. Parlament wydelegował też utworzoną w łonie jego komisyę do zbadania rzeczy i udzielenia najpotrzebniejszym rychłej pomocy, a stanął tu jej do pomocy człowiek, który więcej niż ktokolwiek w Angli posiadał znajomość rzeczy i gorącą wolę przeprowadzenia jej dobrze. John Burns zaliczał się jeszcze przed laty paru do demagogów, żądających zniwelowania wszelkich praw człowieka do własności swojej, czy zarobionej w pocie czoła, czy otrzymanej po przodkach, których pracy ją zawdzięcza. Że człowiek ten, obałamucony fałszywą doktryną, miał w sobie przecież czyste i uczciwe pragnienie dobra ogółu i uszanowania pracy, której owoc jest trudów jego zapłatą, puścił się w podróż do Stanów Zjednoczonych, aby zbadać rzecz na tym gruncie nowym, gdzie żadne przesądy stare już miejsca nie mają i wrócił też nietylko z nich uleczony, ale stał się obrońcą tego, co chciał burzyć i prawa własności człowieka do tego, co zarobił.

Kwestya wsparcia starości, która już do pracy nie jest zdolną, wystąpiła tu obecnie na plan pierwszy, podjęta nietylko przez filantropów, ale przez cały niemal ogół ludzi dobrej woli. Już to poruszono rzecz poprzednio we Francyi; minister Constant zapragnął, aby państwo zatwierdziło wpisanie do budżetu sto milionów franków na ten cel, ale rzecz spełzła na niczem dla tego, że zachciano ambitnie stworzyć odrazu wielkie dzieło. Anglia rozsądniej bierze się do rzeczy; w 1893 r. ustanowiono komisyę z przeznaczeniem, jak należy zająć się przedewszystkiem starością do pracy już niezdolni a jak wielkie znaczenie przywiązywano do tej sprawy świadczy to, że książe Walii został do niej zaproszonym a przyznać trzeba, że zajął się nią z przejęciem wielkiem, choć podpisu jego nie ma tam na żadnym z aktów komisyi; ale konwenans jest to tylko, aby na zaproszeniu członków do udziału nie ciężyła powaga majestatu królewskiego księcia. Znajdują się w tem gronie osoby wysoko położone, jak lord Lingen, lord Brassey, powagi w sprawach filantropii i owocem tych poczciwych starań jest powzięte świeżo postanowienie płacenia do śmierci pewnego rodzaju emerytury starcom płci obojga, których życie było uczciwie i pracowicie spędzane. Zasłużyli na to niewątpliwie, bo żyć dobrze to spełniać najwyższy urząd wśród ludzkości, że przecież potrzeba na to zasobów znacznych łatwo się domyśleć, ale społeczeństwo angielskie uważa popieranie tego rodzaju instytucyi za obowiązek narodowy, a obok tego stowarzyszenie to działa niewątpliwie na umoralnienie klas pracujących, które czują nad sobą rękę opiekuńczą sfer wyższych i nie wyradza się tutaj ten smutny antagonizm, jakiego przykład daje Francya. Podobnie też działają związki robotników: „Frendly Societys,“ „Tredes Union,“ zabezpieczające ich starość, lub niemoc przez odpowiednie do składek pretensye, które przecież chronią od nędzy, od żebractwa, gdy już sił do pracy zabraknie.

Już to można przyznać Anglikom, że przez rozumnie wznoszone Towarzystwa, umieją sobie życie ułatwiać, a filantropia społeczna, działająca w tym kierunku, może być wzorem dla wszystkich narodów. Sprawozdanie z jej czynności za rok ubiegły wykazuje, że składki dobrowolne przyniosły sumę niemałą, bo odpowiadającą trzem milionom rubli, a nietylko o dobrobyt materyalny troszczą się tu ludzie dla bliźnich swoich. Są stowarzyszenia prywatne, które czuwają nad moralnością w kierunkach najrozmaitszych, jakiem jest naprzykład Stowarzyszenie opieki nad dziećmi i to nietylko sierotami. Są rodzice źli, są rodzice nierozumni, którzy nie umieją karności rodzicielskiej rozsądnie wykonywać i Stowarzyszenie mieści w łonie swojem urzędników, pobierających stałą pensyę z obowiązkiem śledzenia wszelkich nadużyć, szkodzących moralnej lub materyalnej istocie dziecka, którzy występują wtedy przed sądy z oskarzeniem, zawsze bardzo starannie rozpatrywanem.

Do dobrych wiadomości należy, że influenza, która tu grasowała epidemicznie, zaczyna się zmniejszać, a była ona taką, że szpitale zostały przepełnione i dość powiedzieć, że dotknęła tak silnie blisko tysiąc konstablów, że straż bezpieczeństwa publicznego rozprzęgła się tu prawie. Nie jest to przecież w Anglii nowa choroba, nieraz już nawiedzała ona Londyn zwłaszcza, który nietylko przez przeludnienie swoje jest miastem najmniej zdrowem w Europie, choć czyni się tu wszystko, co tylko można, aby stan ten poprawić. Uczony filolog tutejszy, Miller, rozpisał się szeroko w *British medical Journal*, że każde wielkie miasto jest zgubnem dla zdrowia mieszkańców, dodając, że tylko powietrze w wyższych warstwach atmosfery może tam być poniekąd zdrowem i ten, kto mieszka na trzeciem, czwartem piętrze, może zaledwie coś czystego powietrza w pierś zachwycić. Przytoczył on jako przykład, jak zdrowo, czerstwo wyglądają osoby, obsługujące obserwatoryum w Bon-Newis, wznoszące się na 1,300 metrów po na powierzchnią morza, co zmienia się zaraz wkrótce, gdy powracają na niziny.

Dla tego to wielu lekarzy londyńskich zaleca wczesne wstawanie i przechadzki-porankiem, za nim ruch tłumów zapełni ulice, przecież wspomina-

ny powyżej organ Towarzystwa lekarskiego zaprzeczył temu dowodząc, że wpływ światła słonecznego uzdrowotnia powietrze i działa dodatnio tak na ludzi, jak i na stworzenia, człowiek dbający o zdrowie powinien też wychodzić na powietrze dopiero wtedy, gdy słońce dostatecznie je ogrzeje i tylko ten może wstawać rano, kto wcześnie spać się kładzie. Dawniej wstawano niemal ogólnie wczesnym porankiem, ale nie wysiadywano też tak długo w noc i wspomniany fizyolog dodaje w końcu swej rozprawy, że dawniejsi ludzie żyli dłużej i byli silniejszemi dla tego, że organizm ich nie osłabiał się bezsennie spędzanemi nocami. Jako przykład tego postawić można zmarłego właśnie w Edynburgu Johna Stuarta Blacke, zwanego tu ogólnie *wielkim starcem*, który żył lat siedemdziesiąt sześć, choć był to człowiek pracowity i nigdy nie używał zbyt wygodnych wczasów. Uczony filolog zostawił po sobie wiele dzieł wyższej wartości; Szkot z urodzenia był namiętnie przywiązanym do kraju swego i przez lat wiele, bo od 1864, zajmował w Edynburgu katedrę uniwersytecką, kochany gorąco przez młodzież i górali, których legendy, pieśni i stare baśnie celtyckie zbierał. Przełożył też wierszem miarowym „Fausta“ Goethego.

Umarł też w Londynie człowiek bardzo zacny, również Szkot z rodu, Daniel Gilbert, proboszcz kościoła Panny Maryi, uważany tu za jednego z najuczeńszych ludzi, nasz wielki przyjaciel, opiekujący się ze szczególną troskliwością ziomkami naszymi, których losy tu zapędziły. Był on w ogóle bardzo dobroczynny i pierwsze schronienie noclegowe dla biedaków bezdomnych zostało przez niego i z własnych jego funduszów wzniesionem. Szanowany też bardzo za cnoty swoje, był jednym z trzech katolickich prałatów Londynu, których po śmierci kardynała Maninga, proponowano jako jego następcę. Pogrzeb szlachetnego kapłana zgromadził też wszystkich przebywających tu ziomków naszych, bez różnicy stanów. Znaleźliśmy się też niemal w komplecie, aby powinszować siedemdziesięcioletniej rocznicy Wiliamowi Howard Rusel, weteranowi dziennikarstwa, który był uważanym ongi za najlepszego korespondenta z placu boju, i znajdował się wszędzie, gdzie ścierały się oręże ludzkie.

Był on w tym zakresie stałym współpracownikiem „Timesa“ podczas wojny krymskiej, powstania indyjskiego, domowej wojny amerykańskiej, austryacko-pruskiej, francuzko-pruskiej. Zajrzał raz i do nas i wybierał się na wojnę serbsko-turecką, ale już podeszły wiekiem nie miał dość sił, aby tego dokonać. Obecnie przebywa on całą porę letnią nad morzem, bo lekarze angielscy uważają to za najzdrowszą wilegiaturę, bo analiza spektralna wykryła w powietrzu sól morską, którą wiatr przypędza wraz z pianą bałwanów. W pierwszych dniach stycznia silna burza rzucała płaty tej piany daleko na ląd stały, bo też w tym dniu wiatr tak dął, że w sekundę czasu bałwan piany przebywał czterdzieści siedem metrów na godzinę i nazajutrz mógł sobie każdy zbierać obficie sól na polach, drzewach, nawet na dachach domów i bruku miasteczek, odległych od morza o dziesiątki wiorst. W 1839 r. burza trwająca dwa dni uniosła pianę morską o dziewięćdziesiąt wiorst od wybrzeży i naniosła tam pokłady soli morskiej tak, jak niedawno, bo w grudniu zeszłego roku, rozrzucały ją wichry na przestrzeni 6,500 wiorst kwadratowych, Że to wspaniałe są widoki takich wzburzeń natury, dowodzić nie trzeba, i najdoskonalszego mistrza pendzel nie odda ich nigdy w całym swym wyrazie.

Wystawa obrazów starych malarzy szkockich, urządzona w Graffon Gallery, a zamknięta teraz właśnie, przedstawiła kilka krajobrazów takich, którym znawcy przyznali wartość wysoką. Do szczególnie interesujących publiczność angielską, należały przecież portrety. A jak mistrze dawni pracowitymi byli, jak rozkochanymi w sztuce swojej, dowodzi płodność niektórych. Raebarn, który tu zajął jako talent miejsce pierwsze, zostawił po sobie 82 obrazy.

Wspomnienie przeszłości święconem tu było w tych dniach. W d. 23 kwietnia obchodzono uroczyście w rodzinnem mieście Szekspira, Stratford-on-Avon, rocznicę jego urodzin. Porankiem dzieci ze szkoły miejskiej, w której nieśmiertelny mistrz miał popierać pierwszą naukę złożyły na jego grobie wieniec wawrzynowy. Wieczorem wystawiono w teatrze miejscowym „Powieść zimową“, a niewielkie miasto nie mogło objąć gości, którzy się tu zjechali ze wszystkich stron. *Henryk.*

Postęp dzisiejszych czasów.

NOWE ODKRYCIA W POWIETRZU.

Badanie i opanowanie powietrznego państwa jest jednem z najważniejszych zadań nowszych czasów; wiele się mówi i pisze jeszcze o postępach techniki na polu powietrznej jazdy, a już na tej drodze przybyły nowe i ważne zdobycze wiedzy, otrzymane przy badaniu atmosfery. Zdobycze te osiągnięto po części w górnych szlakach, ponad najwyższemi górami i w państwie chmur pierzastych podczas podróży balonem, po części zaś w chemicznem laboratoryum uczonego.

W dniu 4-ym grudnia zeszłego roku, około godziny 10 minut 28 rano na placu, przy Leopoldshall-Stasfurt, z pośród licznego tłumu ciekawych unosił w górne szlaki nową wyprawę sławny balon „Feniks“, zbudowany w celach naukowych. W łódce siedział jeden tylko podróżny, dr. A. Berson z Berlina, otoczony mnóstwem naukowych instrumentów. O 3-ej minut 45 balon zatrzymał się szczęśliwie około Schönwohld, niedaleko Kiel, a w ciągu tego krótkiego czasu odważny badacz wzniósł się na wysokość 9150 metrów. Podróż jego godną jest uwagi, gdyż tak wysoko znaleźli się dotychczas powietrzni żeglarze tylko dwa razy. W r. 1875, francuzi Tissandier, Sivel i Crocé-Spinelli wznieśli się nie wyżej, jak na 8000 metrów, a jednak nie obeszło się bez ofiar, dwaj ostatni ponieśli śmierć przez uduszenie w skutek braku właściwego powietrza. W r. 1862 anglik James Glaisher wzniósł się podobno do wysokości 11,277 metrów, jestto jednak wersya nie dowiedziona, gdyż na wysokości 8500 metrów wpadł już w omdlenie. Niemiecki żeglarz powietrzny dr. Berson, o którym wspominaliśmy wyżej, nie stracił przytomności ani na jedną chwilę, dzięki zaopatrzeniu się w tlen dla oddychania w ciągu podróży, a więc dane jego oparte są na trzeźwych obserwacyach i niezawodnych spostrzeżeniach.

Najważniejszym skutkiem tej powietrznej podróży jest ustalenie temperatury w górnych warstwach atmosfery. Tissandier oznaczył na wysokości 7000 m. 11°C zimna, Glaisher na wysokości 8000 m. — 20%. Spostrzeżenia te nie były ścisłe, gdyż termometry użyte przy doświadczeniach, wystawione na działanie promieni słonecznych i przez nie ogrzane, nie mogły oznaczyć dokładnie prawdziwej temperatury powietrza. Niemiecki uczony przy ostatniem badaniu posiłkował się termometrem, zaopatrzonym w przyrząd, zbudowany przez profesora Asmana w Berlinie; w tych przyrządach kulka, zawierająca rtęć, ma zupełną ochronę od promieni słonecznych, a oprócz tego oddzielny mechanizm bezustannie wciąga około niej powietrze i tym sposobem termometr jest pod działaniem prawdziwej temperatury powietrza. Z pomocą tego mechanizmu otrzymał „Feniks“ na wysokości 8000 metrów 38% zimna, a na wysokości 9150 m. 48°C, podczas gdy w przystępie promieni słonecznych, termometr oznaczał w ostatnim wypadku 23% w pełnem słońcu. Spostrzeżenia dokonane na najwyższem wzniesieniu, opisuje dr. Berson w artykule pod tytułem: „Podróż do państwa chmur pierzastych“, drukowanym w jednem z tegorocznych niemieckich czasopism w następujących słowach: „O godzinie 1 m. 24 przekroczyliśmy najwyższe wzniesienie, 8000 m., osiągnięte podczas poprzedniej podróży d. 11 maja 1894 roku. Badam swój stan sił i znajduję, że bezpiecznie mogę się wznosić wyżej, co również potwierdza mój przyrząd balastowy. W każdym razie wdycham ciągle tlen i odczuwam tylko lekki zawrót głowy i dość silne bicie serca, co przecież nie przeszkadza mi badać, rozważać, pisać. Jeżeli jednak wypuszczę z ust na chwilę rurkę, zmuszony do tego pracą, lub w celu fizyologicznych spostrzeżeń, napada mnie gwałtowne bicie serca, chwieję się; szybko więc sięgam po rurkę, ożywczym gazem napełnioną.

Balon zbliżył się już ku wyblakłym chmurom pierzastym, które od rana ukazywały się wysoko na niebie, potem coraz bliżej, wreszcie pogrąża się w nie. Chmury te ku mojemu zdumieniu są zbiorem nie igiełek lodowych, lecz drobnych śnieżnych płatków, wirujących gęsto wokoło mnie, a balon w nich wygląda białawo. Jestem teraz na wysokości 8700 m., ciśnienie barometru pokazuje 245 mm., termometr—43,°. Lecz po wyrzuceniu jednego jeszcze worka, który zdecydowałem się poświęcić, aby wznieść się wyżej, balon wynurza się z chmur. Na wysokości przeszło 9000 m. byłem już ponad chmurami. Czyste i zimne niebo unosi się nade mną; nie przedstawia ono owej ciemnej, szafirowej barwy, często podziwianej już na 3000 lub 4000 m. wysokości, lecz bledszy, jaśniejszy odcień. Wznosząc się jeszcze wyżej, odczuwam pływające delikatne kłęby pary, niedostrzegalne dla oka. Jest mi lepiej, swobodniej niż przed tem, lecz mam już tylko sześć worków balastu. O 12-ej minut 49, a więc w 2½ godziny po opuszczeniu ziemi, barometr pokazuje 231 mm. ciśnienia, termometr z ochroną od promieni słońca—47,°C. a zwyczajny nawet w pełnem słońcu tylko—28,°. Balon znów trzyma się na poziomie, nie mogę już poświęcić balastu, pomimo gorącej chęci podążenia wyżej i jakkolwiek czuję się tak dobrze, że dokonywam szybko obliczeń i zgodnie z niemi redukuję wzniesienie się, pokazane na 9600 m. i prawdziwą wysokość na 9150 m. oznaczam... Wznoszenie się balonu dosięgło swego kresu.

* * *

Drugie odkrycie, o którem pragniemy czytelnikom naszym dać krótką wzmiankę, dokonanem zostało w chemicznych laboratoryach, a było tak zdumiewające, że większa część badaczy wiary mu dać nie chciała, sądząc, że zachodzi jakaś pomyłka. Odkrycie to dotyczyło składu powietrza, które nietylko fachowi chemicy, lecz i wszyscy ludzie z pewnem wykształceniem uznawali za ostatecznie zbadane, czyli że pierwiastki, z jakich się składa, są stanowczo wiadome.

Dawnemi czasy mniemano, że powietrze jest pierwiastkiem, uważano je za jeden z elementów. Około 120 lat temu teoryę tę zastąpiła inna, gdyż w r. 1771 Priestley i Scheele odkryli tlen, w tym samym czasie przekonano się, że powietrze składa się z dwóch gazów, tlenu i azotu i obliczono, że na sto części powietrza przypada 21 tlenu, a 79 azotu. Później zauważono, że nawet najczystsze powietrze na otwartej przestrzeni zawiera nieco kwasu węglanego, 0,04 do 0,07 procentu powietrza. Za pomocą dokładniejszych badań, wykryto w powietrzu jeszcze pewną ilość ozonu, zmienionego tlenu, ślady amoniaku oraz kwasu saletrzanego; w końcu zdołano oznaczyć w powietrzu ilość unoszącej się w niem pary wodnej, oraz najdrobniejszego pyłku. Krótko a węzłowato uważano już powietrze jako żywioł najdokładniej zbadany pod względem chemicznym.

Tem większe wywołała w zeszłym roku zdumienie wiadomość o wystąpieniu angielskich chemików lorda Rayleigh i profesora Ramsay z twierdzeniem, że prócz dotychczas zbadanych, powietrze zawiera jeszcze zupełnie nieznany gaz, którego zawartości w powietrzu, jakkolwiek nie określili, lecz w każdym razie wykazali jego obecność w atmosferze w niemałym stosunku.

Odkrycia tego dokonali uczeni angielscy w następujący sposób: Lord Rayleigh zajmował się ścisłem oznaczeniem ciężaru gatunkowego różnych gazów. Podczas próby z azotem przekonał się, że gaz ten otrzymany w laboratoryum drogą chemiczną z połączeń, zawierających azot, okazywał się lżejszym, niż azot wydobyty z atmosfery. Spostrzeżenie to skłoniło uczonego do ściślejszego zbadania powietrza. Z pewnej określonej ilości powietrza wydzielono najpierw kwas węglany i tlen; w ten sposób pozostałość powinna była być według dotychczasowego mniemania czystym azotem. Magnowe opiłki, rozżarzone do czerwoności, mają zdolność absorbowania azotu; w tym celu atmo-

sferyczny azot poddawano działaniu takich opiłek, lecz w żadnym razie całkowity gaz nie został przez nie absorbowany; zawsze pozostawała pewna część ciężkiego gazu. Badania te dowodziły, że było to ciało, dotąd zupełnie nieznane. Jedną z niezwykłych jego własności jest, że dotychczas nie powiodły się usiłowania chemicznego połączenia go z żadnem innem ciałem; według doświadczeń dotąd dokonanych, jest to ciało w chemicznem znaczeniu zupełnie leniwe, bierne i ztąd otrzymało nazwę argonu. Profesor Olszewski w Krakowie poddał argon ciśnieniu i ochładzaniu, przyczem otrzymał ciało stałe, pod postacią białych kryształków. Profesor Crookes w Londynie badał argon spektoskropijnie i doszedł do wniosku, że jest on pierwiastkiem, albo też połączeniem dwóch nieznanych dotąd pierwiastków. Dnia 3-go stycznia b. r. uczeni przedstawili wyczerpujące sprawozdanie ze swoich badań na posiedzeniu królewskiego towarzystwa (Royal Society) w Londynie, a przytoczone dowody czynią bardzo prawdopodobnemi domysły o istnieniu w powietrzu części składowej dotąd nieznanej.

Fakt, że tak znaczne ilości „argonu“, zawartego w powietrzu, ukryć się mogły dotąd przed spostrzeżeniami badaczów, jest zdumiewający. Z natężeniem oczekiwać na eży dalszych doświadczeń, bezwarunkowo niezbędnych, gdyż trudno przypuścić, aby gaz tak rozprzestrzeniony był bez znaczenia w naturze. Czy argon wywiera wpływ na żyjące istoty w ogóle, na nas ludzi, dla których powietrze jest niezbędne do życia? Jaki stosunek zachodzi pomiędzy nim a atmosferyczną elektrycznością, oraz światłem i ciepłem promieni słonecznych? Są to kwestye, zajmujące dziś świat naukowy w wysokim stopniu, a rozstrzygnięcie ich bezwątpienia w niedługim czasie nastąpi, dzięki usiłowaniom badaczy.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż departament celny uwzględniając prośbę fotografów, zalecił okólnikiem, aby władze celne rewidowały wszelkie czułe na światło preparaty fotograficzne w odpowiednich lokalach ciemnych przy świetle latarń zaopatrzonych w szkła kolorowe.

— Wiadomości petersburskie piszą, że projekt przepisów co do obowiązkowego banderolowania herbaty, przedstawionym będzie na sesyi jesiennej radzie państwa. Wykonanie tego projektu wywoła potrzebę znacznego rozszerzenia pomieszczeń celnych w Petersburgu, Moskwie i innych większych miastach.

— Posiedzenia budżetowego komitetu Warszawy, obradującego nad projektem dodatkowych wydatków i dochodów na rok bieżący, zostały rozpoczęte. Między innemi uchwalono wydatek 15,000 rs. na urządzenie parku przy ulicy Koszykowej. gdzie w r. 1896 na być umieszczoną wystawa hygieniczna.

— Towarzystwo wioślarskie otworzyło swój sezon letni. U przystani witał przybywających członków z rodzinami wiceprezes Matecki i naczelnik przystani Ferencowicz, poczem odśpiewano „Modlitwę“ Troszla i „Pieśń żeglarzy“ Schuberta. Następnie statek parowy „Planeta“ i łodzie „Wisła“, „San“, „Wilia“, „Niemen“ i inne, poniosły zgromadzonych do Bielan, gdzie wylądowano. Ksiądz przeor Marczewski odprawił w kościele O. O. Kamedułów Mszę na intencyę członków Towarzystwa, podczas której chór wioślarzy śpiewał. Po ukończonem nabożeństwie udano się do Młocin, gdzie rozbito na zielonej już murawie namioty i spożyto śniadanie, poczem strzelano do celu, tańczono; zabawa trwała do godziny 8-ej wieczorem..

Na posiedzeniu Towarzystwa ogrodniczego i nauk przyrodniczych p. E. Majewski mówił o toporkach przedhistorycznych, znajdowanych często nad górnym Bugiem i Styrem, przy czem pokazał zbiór ich znaczny. Typ ich wszystkich jest jednostajny, robota gruba, materyał użyty na nich nietrwały i wszystkie mają wywiercony otwór do osadzenia ich na kiju, a skład ich mineralogiczny jest jednostajny a przecież urozmaicony. Większość tych toporków wyrobiona jest ze skały, należącej do piętra Sarmackiego; w jednych przeważa piasek kwarcowy, w innych krzemień, lub wapień to bogaty, to ubogi w różne skamieniałe muszle. Jednostajność materyału i wyrobu świadczy o wspólnem ich pochodzeniu tak co do czasu, jak i miejsca, przecież nie znajdowano ich gromadnie, lecz zebrano na dość obszernej przestrzeni kraju, kamień tu użyty zdaje się pochodzić z okolic dość odległych od miejsca znalezienia ich. Skały piętra Sarmackiego, z których wyrobione są toporki, wznoszą się w odległości mil kilkunastu od miejsca, gdzie je znaleziono, ubogiego bardzo w kamień polny wszelkiego rodzaju. Jest też rzeczą uwagi godną, że nie spostrzeżono tam toporków z innego kamienia; jak dotąd znajdują się jedynie w okolicy górnego Bugu i Styru, należałoby się przekonać, czy nie ma podobnych toporków w innych miejscowościach kraju i zarazem czynić poszukiwania w okolicach sąsiednich.

— We wsi Rusicach, w powiecie łaskim, na miejsce starożytnego, ale już bardzo zniszczonego kościołka, ma stanąć świątynia nowa, staraniem plebana, ks. Wysockiego.

— W Towarzystwie sztuk pięknych wystawił p. Józef Kresz portret ś. p. kardynała Dunajewskiego.

— Inspektor trzyklasowej szkoły miejskiej imienia Konarskiego stara się o przekształcenie jej na szkołę rzemieślniczą. Urzeczywistnienie tego zamiaru wymagało by rocznie dopłaty od 5,000 do 7,000 rs., jakie instytucya ta otrzymuje z zapisanych przez Konarskiego.

— Towarzystwo pomocy uczącej się młodzieży w Szawlach, założone w 1892 r., rozwija się szczęśliwie. Liczy ono dwóch członków honorowych: ks. Michała Ogińskiego i p. Stanisława Hryniewicza, oraz 134 członków rzeczywistych, dających rocznie po 3 rs. Fundusze szkoły składają się tak z ofiar i wsparć, jak też i wpisowego, wnoszonego przez członków. W 1894 r. Towarzystwo dało uczącej się młodzieży 503 rs., zapomogi; uczniowie zamożniejsi, a raczej ich rodzice lub opiekunowie składają w ręce władzy szkolnej niepotrzebne już, używane podręczniki naukowe, które są następnie rozdawane uboższym uczniom.

— Rektor pobernardyńskiego kościoła Ś-tej Anny na Krakowskiem Przedmieściu, otrzymawszy nominacyą na proboszcza parafii Ś-go Stanisława na Woli, został obdarowany przez arcybractwo Ś-tej Anny kosztownym mszałem z ozdobnemi narożnikami i klamrami srebrnemi. Na mszale widnieje napis: „Arcybractwo przy kościele warszawskim Ś-tej Anny wielebnemu księdzu Władysławowi Siewierskiemu, rektorowi tegoż kościoła parafialnego S-go Stanisława na przedmieściu Wola, na wieczną pamiątkę dar ten ofiarowało w 1895 r.“

— Zmarłemu malarzowi Stanisławowi Wolskiemu postawili koledzy pod przewodnictwem p. Andrychiewicza kolumnę nadgrobową z popiersiem modelowanym w bronzie przez Woydygę, a odlaną obecnie przez p. Łapińskiego.

— Pogrzeb zmarłego w Krakowie lekarza, Lucyana Rydla, był wspaniały przez liczny orszak publiczności. Na trumnie złożono bardzo wiele wieńców, a przemów było trzy. Najpierw ozwał się rektor uniwersytetu, D-r Browicz, przemawiając przed domem zmarłego; następnie miał mowę przy klinice asystent zmarłego D-r Sroczyński, na cmentarzu professor D-r Cybulski i jeden z pomiędzy studentów. Zmarły był professorem i dyrektorem kliniki okulistycznej w Krakowie, członkiem nadzwyczajnym krakowskiej Akademii Umiejętności, dziekanem wydziału lekarskiego na uniwersytecie, a nadewszystko człowiekiem czcigodnym.

— Książe biskup krakowski zajmuje się gorliwie restauracyą katedry krakowskiej i zwołaną została ankieta, do której oprócz architektów miejscowych przyzwano p. Dziekońskiego z Warszawy, p. p. Grochowskiego, Hochbergera i ks. Skrochowskiego ze Lwowa. Pod przewodnictwem prof. Odrzywolskiego, budowniczego katedralnego, zwiedzali przyzwani starożytną świątynię, rozpatrywali plany. Książe biskup wyraził żądanie, aby prace restauracyjne rozpoczęły się w czerwcu, a obok tego, aby wewnątrz świątyni nie zmieniano, nie poruszano nic, tak w zakresie dzieł sztuki jak i pamiątek starożytnych.

— Na wydziale historycznym Akademii Krakowskiej prof. Antoni Prohazka odczytał rozprawę „O autentyczności listów Gedymina.“

— Ksiądz Jan Nepomucen Słowikowski z Nowosiełek w pow. złoczowskim zapisał 30,000 zł. reń., na stypendya dla niezamożnej młodzieży szkolnej, a obok tego 40,000 zł. reń., na różne cele dobroczynne.

— Mieszkaniec Stockholmu, Juliusz André, postanowił odbyć podróż balonem do bieguna północnego. Balon ma być tak urządzony, aby niósł trzech podróżnych i zapas żywności obliczony na trzy miesiące. Dla utrzymania potrzebnego kierunku podróżni będą pilnować się odpowiednich prądów powietrza, mniej więcej stałych. Uczeni przypuszczają, że u bieguna istnieje morze wolne od lodów, czego zdaje się dowodzić fakt, że pewne gatunki ptaków przybywają corocznie z krain podbiegunowych, co dowodzi, że znajdują tam jako pokarm ryby, zatem morze nie jest pokryte skorupą lodu, a temperatura nie dochodzi do tego stopnia, który już zabija życie organiczne.

Sprostowanie.

W numerze 18-ym „Bluszczu“ na str. 139-tej, w szpalcie 2-ej, w wierszu 31 od góry powinno być: Typ *kobiety*, jakich oby jak najwięcej było.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Co jest szczęście?** przez Aleksandra Römera. Przekład z niemieckiego, ark. 3.

TREŚĆ: **Miron**, przez M. I.—**Pogawędka**, przez ??—**Trzy chwile**, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — **List z Anglii**, przez Henryka.—**Postęp dzisiejszych czasów.**—**Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: **Co jest szczęście?** powieść przez Aleksandra Römera, przekład z niemieckiego ark. 3-ci. — Przegląd mód. 23 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 26 Апрѣля 1895 г.